

KONRAD KOMORNICZAK

„BLIŹNIACZE DRZEWA”

© Copyright by Konrad Komorniczak

Wcisnął się głęboko w fotel, nienaturalnie zwarł zęby, co nadało jego twarzy niespotykany na niej nigdy wcześniej rys i na sztywno wyciągniętych w przód rękach objął dłońmi obręcz kierownicy zaciskając palce na skórzanej oprawie tak mocno, że nieświadomie odcisnął na niej krótko przecież przycięte, męskie paznokcie. Wyraźnie zły tkwił w blaszanej pułapce samochodu bez nadziei na szybką poprawę swojego położenia. Nie mógł pojąć tego, że miasto mimo niemal nieprzespanej nocy, wstało tak wcześnie, by gnębić swoich mieszkańców rykiem silników, piskiem opon i nie mniej irytującym pobrzękiwaniem klaksonów. Była sobota i jak myślał, przynajmniej połowa z tych fagasów, kretynów, durnych blondynek, niedzielnych kierowców, bab za kierownicą czy cwanych taksiarzy zamiast, jak to bywa w robocze dni, uzewnętrzniać swoją beznadziejność w ulicznym wyścigu do biur, biurek, biureczek, mogłaby przecież zostać w domu i śnić jeszcze swoje durne sny. W oczach Adama nie usprawiedliwiała ich nawet bardzo ładna pomimo wczesnej pory, zachęcająca do ruszenia się z domu, pogoda. Pogłodził muzykę, by zagłuszyć denerwujący, dobiegający zza okna gwar, uprzyjemnić sobie choć nieco bezkresne minuty, które oczekiwały na niego w ciągnącym donikąd korku, ale przede wszystkim chyba, by zagłuszyć straszne, godne wstydu myśli o przeklinaniu, biciu, gryzieniu, mordowaniu. Chciał wrzeszczeć razem z dobiegającym z głośników głosem rockowego wokalisty jednak przez wzgląd na obserwujących go z sąsiedniego pasa ludzi poprzestał na nerwowym, acz rytmicznym stukaniu palcami o pulpit. Z natury optymistycznie usposobionemu mężczyźnie tego było już zbyt wiele. Chciał tylko punktualnie o 9.00 stawić się w pracy, co w założeniu nie było planem trudnym do zrealizowania. Owszem wstał zbyt późno nie pozostawiając sobie czasu na staranne przygotowanie stroju, długie szczotkowanie zębów i leniwe popijanie gorącej herbaty w takt słów telewizyjnego spikera, ale zdążyłby z pewnością. Zdążyłby, gdyby nie pokłócił się z Izą. Dziewczyna ocknęła się kiedy wychodził, by spod półprzysłomnych powiek dostrzec bałagan, którym w pośpiechu rozrzucając ubrania i niechlujnie pozostawiając na stoliku resztki niedojedzonego śniadania zakłócił zawsze harmonijny wystrój sypialni. Myśl o powodzie kłótni wzmagana bezsilnością w walce ze spalinywym oddechem miasta napędzała go jeszcze bardziej, igrała z brutalnie zaburzonym świętym spokojem. Nie miał wątpliwości. Choć bardzo się tego wstydził w tej właśnie chwili szczerze nienawidził swojej narzeczonej.

Wstała z łóżka dość późno. Nie mogła jednak spać od kiedy opuścił mieszkanie. Ciągłym przestawianiem rozlegającego się w pokoju ze złośliwą częstotliwością budzika, przedłużała jedynie mękę gapienia się w pusty od bieli sufit. Nie wiedziała, co zrobiła źle, jeśli w ogóle cokolwiek było jej winą. Nie mogła mu też wybaczyć zbyt ciężkich, nie słyszanych nigdy wcześniej z jego ust słów. Spięte w goryczy mięśnie długo walczyły, by nie pokazać zdołającym ściany lustrom tego, co boleśnie raniło jej delikatne wnętrze. Po dłuższej chwili jednak skapitulowały i najpospolitszą z dróg wycisnęły w kąci oka nagromadzoną od pracy kroplę słonego potu. Otarła twarz rękawem pidżamy i usiadła. Zdrowy rozsądek zwyciężył, a dziewczyna wygrzebała się spod ciepłym przypominającej ciało Adama pierzyny i zabrała się do codziennych obowiązków. Nie sprawdziła nawet, jak miała to w zwyczaju swojego telefonu. To także raniło ją bardzo. Jej narzeczony przy okazji każdej wcześniejszej kłótni po czasie potrzebnym mu do ochłonięcia i przemyślenia własnych błędów przysyłał jej krótkiego sms-a przepaszając słodko i czyniąc jej serce na powrót przychylniejszym. Tym razem telefon milczał. Musiała więc również sprawić mu wielką przykrość i bardzo go zdenerwować. Nie chciała tego nigdy,

bez względu na fakt jak wysoki był poziom wzajemnych zarzutów. Zasiadła zatem do samotnej jak ona jajecznicy i nieco już mniej samotnych, lecz nie mniej smutnych stronic znalezionej na wycieracze pod drzwiami gazety. Następnie wyrzała za okno, poprawiła zakrzywioną żaluzję, złożyła koc, przesunęła fotel, odkurzyła telewizor, wielokrotnie bezmyślnie otworzyła i zamknęła lodówkę. Była zbyt dumna. Nie zadzwoniła pierwsza.

Sznur aut w żółtym tempie sunął ku głównej ulicy, by raz po raz przystawać zatrzymany czerwonym światłem. Pogodzony z wyrokiem poznańskich ulic Adam nie walczył już, nie próbował przepychać się ani też popędzać nikogo. Nie był jeszcze spóźniony, lecz zegar na desce rozdzielczej zbliżał się już niechybnie do wyznaczonej godziny. Teraz rozmyślał już tylko o narzeczonej. Pomiedzy uczucie nienawiści jeszcze do niedawna w całości wypełniające jego ciało, przypominając sobie wszystkie dobre, piękne i wartościowe, wspólnie spędzone chwile, sam wprowadzał na powrót zaczątki myśli, które towarzyszyły mu jeszcze kiedy poprzedniego wieczoru w namiętym uścisku kładli się spać. Ciało obok ciała, oddech obok oddechu. Zajęty rozmyślaniami nie spostrzegł nawet momentu, gdy zajął pierwsze miejsce w kolejce do upragnionej przez wszystkich, migającej tuż za skrzyżowaniem jak fatamorgana, płynnej jazdy. Zostało mu jeszcze pięć minut. Jeśli się pospieszy, myślał, będzie na czas lub spóźni się na tyle niewiele, że jego niepunktualność pozostanie niezauważona przez czujne oko przełożonych. Czerwone, żółte, zielone. Ruszył jak kierowca rajdowy, nieustannie nabierając prędkości. Przed nim była już tylko pusta droga. Radość w połączeniu z adrenaliną pozwoliły mu w jednej sekundzie inaczej spojrzeć na ukochaną. Kochał ją przecież i właśnie w tej chwili zapragnął kolejny raz jej o tym powiedzieć nadrabiając straconą ku temu z rana sposobność. Wyciągnął z kieszeni telefon i jedną ręką trzymając kierownicę szybko z listy kontaktów wyszukał Piękną. Nie mógł się doczekać kiedy usłyszy jej ciepły głos i wyjaśni wszystko przeproszając za sam już nie wiedział czym spowodowaną poranną oschłość i podenerwowanie. Najwyraźniej w pośpiechu opuszczając mieszkanie nie poświęcił wystarczająco dużo uwagi nie tylko szczoteczce do zębów i herbacie. Najpewniej zapomniał o czymś jeszcze. Niestety w ich wspólnym mieszkaniu nikt nie odebrał. Mimo zapewniających ciszę okalających je dorodnych drzew nikt nie słyszał rozlegającej się z głośnika komórki, nagranej z radia romantycznej piosenki. Pragnienie kontaktu było jednak zbyt silne, chorobliwie odporne na wszelkie przeszkody. Z ręką przy uchu, pędząc bezwiednie przez ronda, aleje, ulice i uliczki niestrudzenie dzwonił do Izy.

Był środek dnia, kiedy Iza nie mogąc znieść dłużej uciekającego wraz z kolejnymi myślami o kłótni czasu postanowiła zadzwonić do Adama. Już od kilku godzin nie gniewała się na niego. Wiedziała przecież, że jest dobrym człowiekiem. Człowiekiem tak dobrym, iż bez namysłu oddała mu swoją miłość. Zrobił, źle tego była pewna, ale w głębi duszy rozumiała powody jego gwałtownego zachowania. Postanowiła, że przygotuje dla nich wystawny obiad, którym przy kieliszku wina uczczą zgodę, miłość odporną na najgorsze nawet humory i obśmieją wspólnie własne ułomności, by znów, jak co noc, zasnąć w błogim zbliżeniu. Dziewczyna przełamując własny opór podjęła decyzję, iż jeśli on nie zadzwoni do czasu ukończenia obiadu, zrobi to ona. Nadzieja dziewczyny pozostała jednak tylko w sferze pobożnych życzeń. Iza postanowiła więc sięgnąć po telefon. Ku jej zaskoczeniu na małym ekranie zobaczyła aż trzynaście nieodebranych połączeń. Wszystkie pochodziły z numeru Kulfona, jak zaczepnie zwykła mawiać na Adama. Zapomniała, że wyłączyła dźwięk na noc, by nikt nie przeszkadzał jej

w słodkim lenistwie pierwszego w tygodniu, wolnego od pracy dnia. Zadzwoiła natychmiast, pomiędzy kolejnymi sygnałami wstydząc się w głębi duszy wszystkich, wypowiedzianych w głowie, oskarżeń o zapalczywość i napompowaną męską dumę. Teraz chciała już tylko jednego. Połączenie odrzucono. By nie przeszkadzać w pracy wysłała tylko krótkiego sms-a: „Kocham Cię...zadzwoń :*”

Przeraźliwy huk i zgrzyt gniecionego metalu zburzył spokój pustej ulicy. Bezbronny ford goniący do świecącego z daleka zielonego światła wpadł na skrzyżowanie, by spotkać się z nie dbającą o światło czerwone ciężarówką. Młody mężczyzna zdążył jeszcze posłać spojrzenie siedzącemu ze zmrużonymi oczami, wysoko w kabinie, kierowcy, by następnie auto w jednej sekundzie przetoczyło się przez chodnik i uderzyło w stojącą na nim latarnię. Skurczyło się nie pozostawiając potrzebnego na drobne ciało miejsca. Całemu zdarzeniu przyglądał się stojący po przeciwległej stronie ulicy, leniwie sącący piwo młody chłopak, który widząc dokładnie całe zdarzenie zastygł w bezruchu opanowany złowrogą ciszą. Teraz wszystko było już spokojne. Potłuczone drobno szkło nie brzęczało o asfalt, stal nie gnioła się i nie szurała. Nawet krew sączyła się powoli i bezdźwięcznie. Oprzytomniały z chwilowego szoku, świadek wypadku ruszył natychmiast w kierunku zniszczonego forda. Widział bowiem, że kierowca sporo większej ciężarówki zaczyna się szamotać próbując uwolnić się z kabiny. Kiedy doszedł na miejsce, opanowując obrzydzenie spojrzał na zmasakrowane ciało. Z bezkształtnej masy, która kiedyś oddychała, śmiała się, złościła i nawet kochała rozpoznał tylko rękę wystającą przez pozostałość przedniego okna, trzymającą mocno w martwym uścisku telefon komórkowy. Chłopak chwycił nadgarstek ofiary i czego spodziewał się wcześniej, nie wyczuł na niej pulsu. Rozwarł białe, pozbawione spoczywającej na chodniku krwi, palce, zadzwonił po karetkę i pospiesznie odszedł ze zdobyczą. Medycy przyjechali po dziesięciu minutach. Pracy dla nich już jednak nie było. Nie byłoby jej nawet, gdyby czekali tam od zawsze.

Tylko godzina dzieliła ją od spotkania z Adamem. Spokojna już czekała na telefon nakrywając stół. Kiedy po raz kolejny przecierała kieliszki do wina żeby upewnić się, że wszystko będzie idealnie i nie przeszkodzi w słodkim pojednaniu, z drugiego pokoju odezwał się krótki pulsujący dźwięk. Pobiegła i odczytała sms-a: „Ja jestem już poza zasięgiem, ale też kocham Cię bardzo”. Zupełnie nie wiedziała o co chodzi. Gdy zadzwoniła, abonent rzeczywiście już nie odpowiadał.

Stała kiedyś u zbiegu ulic Lechickiej i Wojciechowskiego młoda, drobna płacząca wierzba. Mieszkający w pobliżu ludzie twierdzą, że posadziła ją tam kobieta o przepięknym smutkiem obliczu, która w tym właśnie miejscu straciła bliską sobie osobę. Nikt nie wiedział kim była. Niepostrzeżenie zostawiła po sobie tylko drobny, lecz żywy ślad w postaci płonącego jasnym światłem znicza. Podobno drugą, niemal identyczną, a przeszczepioną z tej samej rośliny wierzbę, tuż obok grobu wkopała na jednym z poznańskich cmentarzy. U zbiegu ulic Lechickiej i Wojciechowskiego nie stoi dziś już żadne drzewo, nie płonie żaden znicz. Kim była, tajemnicza kobieta i za kim płakała wierzba? Czy może był to ktoś zupełnie inny? Wszystko to wie chyba tylko ta druga, która w gorącym słońcu, lejącym deszczu, a nawet przykryta lekkimi płatkami

śniegu pochylając się nad mogiłą, wciąż tęskni. Los nigdy nie powinien rozdzielać bliźniaczych drzew.